Ner 8. Kraków 15 kwietnia 1869. Rok III.

KALINA wychodzi 1go i 15go każdego miesiąca w dwóch arkuszach.

Rubryki stałe: Sprawy wychowania.— Ruch społeczny. — Szkice obyczajowe. — Powieści. — Sztuki i literatura. — Życiorysy. — Podróże. — Poezje. — Z przyrody. — Korespondencje. Kronika i Sprawozdania bieżące.

KALINA

Mody, kroje, wzory robót, haftów itd. z opisami dołącza się każdego 1go.

Ekspedycyja dla miasta Krakowa: w księgarni J. Czecha hotel dreździński.

Listy należy adresować: „do Administracyi Kaliny — w Krakowie.

Historja sztuki dramatycznéj.

STUDIUM F. H.

(Ciąg dalszy.)

II.

b) *O urządzeniu teatru greckiego.*

—

Wracamy znów, zkądeśmy wyszli. Mowa była o maszyneryi scenicznéj. Obok periaktów należą tu dwie maszyny, jedna tak zwana ekkyklena, a druga t. z. exostra. Dokładny ich opis jest niemożebny dla braku żródeł, a notatki Pollaksa, który o nich mówi są nader szczupłe. Wiemy jednak tyle, że służyły do pokazania tego, co się wewnątrz domu dzieje, jeżeli tego konieczna zaszła potrzeba, jeżeli scena taka miała w sobie coś mówiącego i jakieś pathos naocznie widzom przekazywała, np. Klytemnestra z krwawym mieczem nad trupem Agamemnona i Kassandry, Orest w téj saméj trylogii, nad trupem Klytemnestry, gdzie jeszcze widać skrwawione prześcieradło krwią Agamemnona.

Wnętrze domu pokazywano za pomocą przyrządu zwanego akkyklewa; podwoje królewskie same się otwierały i stały tak długo otworem, jak długo akcja tego wymagała. Exostra zaś był to rodzaj balkonu, umieszczonego w górném piątrze ściany frontowéj pałacu, który wysuwano według potrzeby tak, że się stawał widocznym.

Należy tu także t. z. mechane, ogólna nazwa maszyny, na któréj się bogowie pokazywali w górze. Z niéj brał Euripides swoich bogów, ztąd frazes o Euripidesowym „bogu z maszyny“ *(deus ex machina)*. Także i na „teologeion“ tj. mównicy bogów, okazywali się bogowie w swych górnych sferach. Maszyny do latania i do unoszenia się w powietrzu „eorema“ i „geranos“ odgrywają wielką rolę w komedjach Aristofanesa, który ludzi w postaciach ós, ptaków, chmur latających i wznoszących się w powietrzu pokazuje. Były takie maszyny, któremi naśladowano grzmot i błyskawicę. Wspomnieć tu jeszcze wypada o t. z. „distegion“ i „fryktorion“ rodzaju wież, z których obserwowano, co się dzieje na dole, jak w Agamemnonie Eszyla w pierwszéj scenie przychodzi. — Cały ten zasób maszynerji teatralnych przypada na dobę Eszyla tragika i Aristofanesa komika, czyli na dobę fantastyczną dramatu greckiego, późniejsi tragicy i komicy zbliżający się swą muzą do krain rzeczywistości, w czasie upadku smaku estetycznego mniéj potrzebowali tych maszyneryj. Zbłądziłby, ktoby śmiał te maszyny greckie pomówić o brak smaku i rażącą niezgrabność, służyły one bowiem wspaniałym i majestatycznym utworom pełnym gustu i wdzięku estetycznego, i sporządzali je nie lada fabrykanci, skoro tacy uczeni i myślący matematycy jak Anaksagoras i Demokritos zajęli się perspektywą teatralną.

Jeszcze niektóre szczegóły o teatrze greckim. Jeżeli teatr ateński był pełny, to mógł liczyć dwadzieścia do trzydziestu tysięcy widzów. Ale któż byli ci widzowie? Chodzi tu mianowicie o to, czy **kobiety** miały do teatru wstęp wolny, czy nie? Że nie występowały w roli aktorek, o tém powiedzieliśmy wyżéj. Czy ich role wprowadzano na scenę, powiemy niżéj, a teraz o ich uczęszczanie do teatru chodzi. W ostatnich czasach zgodzili się uczeni na to, że im wolno było chodzić tylko na tragedje, na komedje nigdy nie chodziły. — Także i chłopców puszczano bez niczego do teatru, ale czy niewolnikom było wolno uczęszczać na przedstawienia, dotąd nie rozstrzygnięto.

Czy wstęp był płatny? Dopóki dawano przedstawienia w budach drewnianych, wstęp był bezpłatny. Ale gdy wymurowano gmach teatralny, i dzierżawcy czyli po naszemu dyrektorowie jego płacili skarbowi dzierżawę, zażądali opłaty od wejścia. Na wniosek Periklesa skarb wypłacał biedniejszym obywatelom pieniądze teatralne, po dwa obole każdemu na wstęp, chodziło bowiem rządowi ateńskiemu o wygodę i oświatę każdego obywatela, jak dziś dobroczynnym rządom chodzi o dobrobyt i dobre szkoły w krajach podwładnych.

Widzowie jadali i pijali w teatrze, bo bufetu nie było. Dowolność była wielka: jedni wchodzili, drudzy wychodzili według upodobania. Podczas gry nie zawsze zachowywano się przyzwoicie. Czasem dokuczano i płatano figle osobom nienawidzonym, między widzami. Aktorom okazywano jak i u nas swoje zadowolenie

przez okrzyki lub oklaski, a gdy się jaki ustęp szczególnie spodobał, wołano „antis“ t. z. jeszcze raz. Baczono w téj mierze na dobre wygłoszenie, a gdy jaki aktor źle, fałszywie wygłaszał, to go gwizdano lub pukano. W ogóle zachowanie się widzów na przedstawieniu tragedji było poważniejsze i uroczyste, ale na przedstawieniu komedji zgorszyliby się widzowie naszych teatrów, gdyż pozwalano sobie na śmiechy i swywolę wszelkiego rodzaju, do czego atoli dawali pochop autorowie komedji, którzy niejednego z żyjących obywateli niemiłosiernie sponiewierali karykaturą, co się np. Sokratesowi nawet, a najbardziéj Kleonowi i innym demagogom od Aristofanesa dostało.

Wielką niedogodnością dla widzów było, że teatr był niepokryty. Scena i garderoba nakryta była dachem ale miejsca widzów, czyli właściwy teatr był pod golém niebem. Przed słońcem chroniono się kapeluszami z szérokiém rondem, a przed deszczém płaszczami, jeżeli jednak powstała ulewa, to uciekano z teatru do przedsionków przyległéj świątyni, i do przyległych domów.

Na sam koniec zachowałem jednę okoliczność, która bardzo odróżnia teatr grecki od naszego. Liczba aktorów w naszych sztukach dramatycznych jest dowolna, dochodzi czasem do dwudziestu i więcéj, chociaż ról głównych i wybitnych jest dwie lub trzy, a resztę podrzędne. To téż role pierwszorzędne grali np. na naszéj scenie p. Rapacki, p. Modrzejewska, inne role służące za folią pierwszym, rozdzielone są według odpowiedniego talentu, aż wreszcie do statystów dojdziemy. W greckich sztukach dramatycznych było tylko trzech aktorów (u Eszyla dwóch). Wszystkie role między nich podzielone były tak, że jeden grał kilka ról po sobie następujących, mając jednak jednę wybitną dla siebie. Łatwo to było czynić greckim aktorom, gdyż ich indywidualność ukrytą była pod maską; to téż raz męzką drugi raz kobiecą rolę grał jeden i ten sam. Na tę małą liczbę jednak wielką kładziono wagę, i rozróżniano jak i my prymadonny, bohaterów, komików, amantów, statystów między temi trzema te wszystkie role. Pierwszy zwał się protagonista, grał role bohatérów, które najwięcéj wzbudzały efektu i współczucia u widzów, drugi deuteragonista grał rolę drugorzędną, wywierał on wielki wpływ na protagonistę spółudziałem jego pathos, trzeci trytagonista motywował lub sprowadzał bóle i cierpienia protagoniście, odpowiada cokolwiek naszym czarnym charakterom. Protagonista grający pierwszą rolę występował jednak wedle potrzeby i w innych w téjże saméj sztuce, toż Denteragonista i tritagonista. Rozkład ról poznamy najlepiéj na przykładzie. W Antigonie Sofoklesowéj protagonista gra Antigonę, Terresiasa, Euridikę, Exangelosa, deuteragonista Ismenę, strażnika, Hemona i posła, tritagonista Kreona. Estetyka i efekt nic tam jednak nie traciły, gdyż łatwiéj grać jednemu kilka ról odrębnych, niż jednę kilkom.

Gdybyśmy to wszystko, cośmy dotąd o teatrze greckim powiedzieli zebrali w jednę całość, to zobaczylibyśmy przed sobą bardzo wspaniały obraz.

Dzień uroczysty, każdy tchnie świętością uczucia, tłum widzów w teatrze, pod nimi liczne rzędy siedzib, nad nimi słońce lub gwiaździste niebo słuchać się zdaje z współudziałem deklamacyi uroczystéj bohatyrów olbrzymiéj wielkości zawikłanych w matnię ludzkiego przeznaczenia, z którém walczą jak olbrzymy. To wszystko sprawiało majestatyczny widok, który zyska wiele, jeżeli ducha jego poznamy.

Piekło nie-Danta.

Napisał *Aleksander.*

Voi ch'intrate lasciate ogni speranza
(L'inferno-Dante).

Przykładam ucho do więziennéj ściany,
Wołam — a głosu echo nie odbije.
I tylko słyszę jak brzęczą kajdany
I świat ten widzę co w kajdanach żyje.
A choć żelaza do kości się wżarły,
To nic nie czuje — świat trupów umarły!

Nędzarze — więcéj nie tylko nędzarze,
Z téj mojéj ziemi utworzyli piekło.
Ból im rozpaczą napiętnował twarze,
Przez mózg im złoto przedajne przeciekło;
I dziś w kajdanach jak zbrodniarze jacy —
Dłoń wyciągniętą mają ci — żebracy....

Wszystkie na ziemi sromotne więzienia
Ciało ich straszną żywiło zgnilizną.
Wszystkie męczarnie znają i cierpienia,
Wszystkie tęsknoty znają za ojczyzną —
I chociaż płaczą dziś łzami krwawemi,
Niewolnikami są na własnéj ziemi.

Trzy kasty żyją w tym bez słońca grobie,
Zębem zawiści szarpiąc wzajem serce.
I nie umieją już przebaczyć sobie,
Mienią się braćmi ci — co są morderce.
Piekło na ziemi stworzyli nędzarze,
Więc łańcuchami Bóg ich dzisiaj karze.

Jedni — łachmanem odziani przeszłości
Gniją i naprzód nie ruszają kroku —
Klęczą na śmieciach zbutwiałéj wielkości,
Modlą się Bogu — nienawiścią w oku.

I przebaczenia nie znają już głosu
I nie chcą zmiany niewolników losu....

Drugi mi palcem Boga wskazał w niebie,
Gdy go pytałem — gdzie twoja Ojczyzna?...
A potém łachman podarty zdjął z siebie
I odkrył piersi — była jedna blizna!
Krwawy pot lał się mu z każdego włosa
I tak milczący patrzał się w niebiosa.

Trzeciegom spytał, gdzie kraj twój? — sprzedany
Odrzekł — i śmiechem wykrzywił twarz siną.
Ręce wyciągnął okute w kajdany
I skonał z bólu — a tak wszyscy giną.
Śmierć się nad niemi urąga bezkarnie,
Tak żyją nędznie i konają marnie....

Widziałem dziecko w tym kraju nędzarzy,
Spało spokojnie na matki kolanach —
A rozpacz była na matczynéj twarzy —
Bo go pieściła dla carów — w kajdanach.
I przeklinała matka niewolnica
Że jéj dziecinę czeka szubienica!

(Ciąg d. n.)

Wierszyk méj młodéj przyjaciółce.

Czemu twe lica dziewcze urocze
Żałości chmurką zsępione?
Dla czego twoje tak piękne oczy,
Kryształem łezki olśnione?

Dla czego uśmiech zwykle tak luby —
Nie krasi usteczek twoich?
Czy może chłopiec targając śluby,
Nie dotrwał w przysięgach swoich?

Lub może inny jaki żal skryty,
Twe oko łezką osłania —
I tak głęboko w duszę twą wryty,
Że ustom uśmiechu wzbrania.

Wyznaj mi dziewcze te skargi twoje,
Wiesz, żem ci zawsze życzliwa —
W smutku pocieszę, żal twój ukoję
Jak przyjaciółka prawdziwa.

R. S.

CARL

(NAJNOWSZA POWIEŚĆ p. *George Sand.*)

I.

Po śmierci Carla dłuższy mój pobyt w Wiedniu wydał mi się niepodobnym — i pragnąc się rozerwać, postanowiłem zapuścić się w samowolną pieszą, po górach wędrówkę. Napróżno przebiegałem Mimją — i choć piękne jéj okolice nieraz mię zachwyciły — nie mogłem już odnaleść w nich tych miłych wrażeń jakich poprzednio, w towarzystwie mego przyjaciela, na każdym doznawałem kroku.

Z niespokojnością, którą bardzo słusznie za manją poczytaćby można było, starałem się zwalczać moją troskę, pierwszą jaka w życiu zachmurzyła pogodne moje dotąd czoło — i pomimo tych walk, ani zdolny byłem przypuścić, że z wszystkiego co na świecie przemija, pamięć o umarłych najprędzéj się zaciera.

Dziś — jeźli czasem wspomnienie, przed oczy mojéj duszy napowrót postać biednego Carla przywoła — rumienię się od wstydu i bolesnych wyrzutów — żem wkrótce po jego śmierci, z takim pośpiechem mógł się zapuścić w nową pielgrzymkę — łudzić się nadziejami, któremi z nim już dzielić się nie wolno mi było i poświęcić się staraniom, których on ani znał, ani pragnął, ani do nich zachęcał. Strach mię przejmuje na samą myśl nietrwałości mojéj żałoby — i jeżeli czasem mogę sobie tę niestałość wybaczyć — to chyba odnosząc myśl do zdarzeń późniejszych — i wmawiając w siebie, że i moja dusza — jak dusza każdego człowieka, jest granitem bardzo zmiennym — pokrytym naprzemian kwiatami, lub zeschłemi od jesiennych wichrów liśćmi, raz zagrzebanym pod grubą powłoką zimnego śniegu — to znów śmiejącym się zielonością i zapłodnionym ciepłem wiosennych powiewów.

Kto wié? czy w chwilach, kiedy wspomnienie zmarłego przyjaciela było mi jeszcze tyle przykrém, tyle dotkliwém — czym w tych chwilach nie był mniéj nieszczęśliwym jak dziś — gdym już pocieszony i wesół? O! — bo wtedy wierzyłem jeszcze w nieśmiertelność wspomnienia — w potęgę przyjaźni — a dziś? czém jestem — i czy jestem czego pewny?...

W téj części mego wędrownego życia przypada jedno dziwaczne zdarzenie — zdarzenie, które choć na chwilę najboleśniéj obudziło we mnie wszystkie moje żałosne wspomnienia — ale zarazem ukoiło ich boleść, nadając im charakter dziwnie romantyczny — i zapędzając moją myśl schorowaną po za granice tęsknéj rzeczywistości.

Widok miejsc tyle razy w towarzystwie przyjaciela zwiedzanych, coraz dobitniéj uwydatniał moje osamotnienie — coraz dotkliwiéj dawał mi uczuć poniesioną

w nim stratę. — Chciałem więc porzucić te okolice — i zapuścić się w kraje zupełnie mi nieznane — chciałem uciekać przed śladami przyjaciela z równą skwapliwością, z jaką poprzednio ich szukałem. Przebiegłem Styrją i dotarłem do Tyrolu.

Wiedziałem wprawdzie, że Carl zwiedzał także niegdyś tę prowincję — ale przebiegł ją samotnie i z pośpiechem. Nic go tam nie uderzyło dość silnie, aby mi kiedy o Tyrolskich coś opowiedział wrażeniach — byłem więc prawie pewny, że zdołam się tam skryć przed wzruszeniami, jakie na każdym kroku Misaja mi nastręczała.

W Tyrolskich górach rzeczywiście znalazłem dużo więcéj moralnego spokoju. Jakkolwiek pora była prześliczna — nieustanne kanikularne burze sprawiały, że droga stawała się często trudną, a nawet niebezpieczną. W miarę zbliżania się do Insprucku, krajobraz przybierał coraz majestatyczniejsze kształty — i tchnął taką wielkością, że na wskróś nią przejęty nie miałem czasu popuścić wodzy trapiącym mię wspomnieniom. Zdawało mi się, żem się rozstał już z moją troską — i zostawił ją gdzieś daleko za sobą — kiedy pewnego dnia — doznawszy ogromnego zmęczenia przy przekraczaniu przesmyków Brenner — zapadłem w H... w tak silną gorączkę — że przez kilka dni z łóżka podnieść się nie mogłem.

Mieszkałem — albo raczéj leżałem w hotelu pod „Białym Orlem“, jedynéj a brudnéj oberży, jaką miasteczko poszczycić się mogło. Żadnéj wygody — zupełny brak wszystkiego — a na domiar nieszczęścia, gospodarz mój był najnieznośniejszym i najmniéj uczynnym z oberżystów. Mój skromny ubiór tęczysty dawał mu do myślenia, że pomimo najszérszéj chęci nie wiele ze mnie zedrzeć potrafi — a stan fizycznego i moralnego osłabienia nie dozwalał mi podnieść najpotulniejszéj nawet skargi na nieludzkość chciwego skąpca. Porzucono mię na nędznym barłogu — i tylko silnéj budowie, jaką mię obdarzyła natura, mogę zawdzięczać, żem z tego łoża jeszcze podnieść się potrafił.

Szczęściem — Opatrzność ukazująca się nam, w chwilach, gdy najbardziéj ratunku jéj potrzebujemy, w nadspodziewanych często formach — zesłała i mnie także opiekę — w osobie młodego przyjaciela, którego pokorną, łagodną i serdeczną troskliwość nie z pamięci mojéj wymazać nie potrafi.

Było to najmłodsze dziecko oberżysty — piętnasto lub szesnastoletni chłopiec — wysoki, szczupły, słabowity — bez żadnéj pozornéj intelligencji — ale pełen szlachetnego poświęcenia i prawdziwie naiwnéj uczynności. Wrodzoną mu dobrocią do opiekowania się mną chorym popchnięty — nie cofnął on się przed niczém, co tylko w jego mocy było — by staraniami swemi wynagrodzić mi gburowatą obojętność i chciwą podejrzliwość ojca. — Prawda, że dziecko to nie wiele — bardzo nie wiele dla mnie uczynić było zdolne — ale też prawda, że w owéj chwili potrzebowałem obficie świeżéj wody do picia i trochę towarzystwa. Bo nic tak nie mogło pogorszyć mego stanu, jak obawa znalezienia się opuszczonym samotnie i bez życzliwéj opieki na samym początku choroby, któréj szybki wzrost był mi przedmiotem bardzo smutnych rozmyślań.

Młody mój przyjaciel przepędził kilka bezsennych nocy przy mnie — a w dzień — pomimo dotkliwych i grubijańskich napomnień i gróźb ojca — co chwila przybiegał do mnie, by się o stan mojéj choroby zapytać. Trzeba przyznać — że jeżeli coś mogło wytłumaczyć srogie obchodzenie się z nim własnego ojca, pomiatającego nim gorzéj, jak najgorszym ze swych służących — to chyba ta okoliczność, że nikt nie mógł być mniéj zdolny jak ów chłopiec do wypełniania obowiązków swojego stanu. — Niepodobna było rzeczywiście być bardziéj od niego niezręcznym — roztargnionym i nieprzytomnym.

Pierwszego zaraz dnia, jego mina zagapiona i prawie głupowata — jego powolność w wypełnianiu moich poleceń — nie mało mię rozdrażniły. W przystępie gorączkowéj niecierpliwości i gniewu nieraz przeklął́em go z całą jego rodziną. — Wkrótce jednak jego dobra wola i życzliwość dla mnie — tyle kontrastujące z niechęcią i nieludzkością ojca, żywo mię obeszły. Zacząłem przemawiać dość łagodniéj i z wdzięcznością — a z przyjemnością już widziałem, że chłopiec coraz bardziéj zaczął przywiązywać się do mnie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności — dziecku temu także na imię było Carl — a imię mego biednego przyjaciela — to imię dźwięczące dla mnie całą potęgą muzykalnego geniuszu i wylanéj przyjaźni — zdawało mi się rozjaśniać czasem bladą, bezmyślną postać wiejskiego chłopaka. — Dzięki nieustannym napomnieniom ojca — imię to ustawicznie obijało się o moje uszy — lub też ginąc w głębi dolnych korytarzy, mimowolnym strachem mię przejmowało.

Nieraz — wpośród gorączkowych marzeń — zdawało mi się, że widmo mego przyjaciela tém imieniem wywołane — wzlatywało nademną. — Zdawało mi się, żem dotknięty tą samą chorobą, ktora go pozbawiła życia — a wtedy u stóp mojego łóżka dostrzegałem go sztywnego — z wyciągniętą do mnie dłonią, jakby mię wzywał, bym zstąpił z nim razem do na wpół otworzonego przy nim grobu. Czasem uszu moich dolatywał jego osłabły i zamierający już głos, wzywający mię rzewną prośbą do siebie — lub też nagle z podziemnych lochów inny jakiś głos chropawy — szatański przyzywał do siebe Carla.

— Czy słyszysz? szeptał wtedy głos przyjaciela — śmierć się niecierpliwi — woła o nową zdobycz!

— Carl! — w imię piekła i djabłów!.. czy chcesz, żebym poszedł tam po ciebie? — powtarzał głos podziemny.

— Przyjacielu! ty mię puścisz samego w drogę do wieczności? — jęczał znowu żałośnie głos Carla — czy ty się boisz towarzyszyć mi w grobie?

Wtedy gwałtownem wysileniem podnosiłem się na łóżko i jednym skokiem chciałem gonić za widmem biednego Carla, i budziłem się zimnym potem zroszony — z okiem obłąkaném — i głową rozżarzoną. — Ale w miejscu mego przyjaciela spostrzegałem tylko biednego syna oberżysty — z twarzą wybladłą i wystraszoną — a z kuchni położonéj właśnie pod spruchniałemi deskami mojego pokoju dolatywał mię szatański głos gospodarza, wzywającego z przekleństwami syna do jakiéjś pracy.

Kiedym już przychodził do zdrowia — zacząłem z tym biednym chłopcem rozmawiać. — Nie trudno mi było zyskać jego zaufanie. — Dowiedziałem się od niego, że był najnieszczęśliwszą istotą na ziemi — że ojciec nienawidził go — że za najmniejsze przewinienie obsypywał go szturchańcami — i że nic tak nie pragnął w życiu, jak porzucić raz na zawsze nieznośny dla niego dom rodzicielski.

— Jeżelim dotąd tego nie uczynił — dodawał — to tylko dla tego, że słabowity i nie do każdéj pracy zdolny — boję się, żebym nie był zmuszony wyciągać rękę po jałmużnę; bo chociaż byłoby to może mniejszém dla mnie nieszczęściem, jak żyć w tém poniżeniu, jakiego tu w domu doświadczam — ale wydaje mi się to rzeczą nie do zniesienia.

Tego rodzaju powtarzane wciąż skargi obudziły we mnie serdeczne dla biednego dziecka współczucie — i natchnęły mię zarazem żądzą wydarcia biedaka z rąk okrutnego ojca. Przez długi czas jednak wahałem się jeszcze — bo nie dość bogaty, żeby go zabrać z sobą w roli przyjaciela — mógłem mu tylko ofiarować stanowisko służącego — a pomimo odkrytych w nim przymiotów byłem przekonany, że téj roli nigdy nie jest w stanie podołać.

Oprócz bowiem szczupłéj budowy, o której już wspomniałem — zdawało mi się, że chłopiec musi być dotknięty jakąś ciężką chroniczną słabością. Mniéj, jak nieświetny stan jego intelligencji — ten rodzaj ospałości, jaka co chwila go napadała — zupełny brak pamięci — jakaś dziwna apatja w istocie tak dla mnie życzliwéj — melancholja nigdy nie ożywiona najkrótszym błyskiem wesołości — wszystko zapowiadało w nim jakiś nieporządek — grożący na serjo jego wątłemu organizmowi.

Cokolwiekbądź — pewnego dnia — kiedy ojciec rozgniewany za to, że pozostając ze mną chłopiec, zapomniał o kuchni, tak się srogo z nim obszedł, że aż krwią się dziecko oblało; ślady bezecnego skarcenia, zniesionego cierpliwie, a jedynie tylko z przyjaźni dla mnie — tak silnie oburzyły mnie przeciwko ojcu, a taką dla dziecka natchnęły życzliwością, że bądź co bądź — postanowiłem natychmiast zapewnić mu moją opiekę — przekonany, że dłuższe wahanie — tylko pogardy godnem być mogło.

Kazałem więc natychmiast przywołać do siebie ojca — i zaraz na wstępie oświadczyłem mu, że go zaskarżę przed sąd kantonu, jako mordercę własnego dziecka — jeżeli do mojéj propozycji przychylić się nie zechce. Stary Peters — przybrał naprzód bardzo zuchwałą i groźną postawę — i już miał na ustach jakieś nie miłe wyrazy — kiedy wzrok jego spoczął na stoliku — na którym umyślnie w tym celu przezemnie położona, a dość jeszcze okrągła kieska — powabnie spoczywała. — Stary w jednem mgnieniu oka dziwnie jakoś złagodniał — i już najmilszym, na jaki zdobyć się mógł głosem:

Do krocset.....! zawołał — pan chce zabrać z sobą tego darmozjada — tego niedołęgę — tego c h o d z ą c e g o ś p i o c h a. — Gdybym miał takich dziesięciu — wszystkichbym panu oddał i tylko dla dobicia targu.

A niechże mię pan uwolni od tego ciężaru — i niech już nigdy o nim nie słyszę — to wszystko, czego żądam!

W ten sposób z ojcem targ stanął na miejscu — i zwracając się do syna zapytałem go, wieleby chciał zarabiać.

— Nic! — nic! — odpowiedział żywo — niechaj mam tylko co jeść — w stare pańskie suknie ubierać się będę. — Niestety! panie mój — jestem tak słaby i tak do niczego nie zdatny, że najmniejsze z mojéj strony żądanie byłoby już przesadzoném!

— Biedne dziecko! — powiedziałem — serce masz dobre i szlachetne — jeżeli umysł twój nie zawsze odpowie twoim dobrym chęciom — a mnie zabraknie kiedy cierpliwości — to już naprzód proszę cię o przebaczenie. Przypomnij mi tylko troskliwość, jaką tu mnie otoczyłeś — a pewnie łajać cię przestanę.

W parę dni potém — Carl i ja — obadwa już byliśmy w drodze do Inspruka.

II.

Wybrałem się do dalszéj wędrówki widocznie zbyt wcześnie — wcześniej, niż na to pozwalały utracone w ciągu mojéj choroby siły. W połowie zaraz dnia czułem wielkie osłabienie — a zmęczenie coraz bardziéj nużące — nie dozwalało mi już pomyśleć o dotarciu bez wypoczynku do miasteczka, w którém obiecywałem sobie zrobić pierwszy nasz popas. — Korzystając więc z cienia, jaki rzucało kilka wyniosłych krzewin, rzuciłem się na łąkę i wkrótce najsmaczniéj zasnąłem.

Kiedym się przebudził — przy zachodzącém już słońcu — spostrzegłem Carla leżącego obok mnie —

w ułożeniu wiernego psa, strzegącego troskliwie, ukochanego przezeń człowieka i pana. Ale sen Carla był tak głęboki, że możnaby było dziesięć razy mię obedrzeć i udusić — zanimby on się o grożącém mi niebezpieczeństwie domyślił.

Zawołałem nań po kilka kroć głośno po imieniu — na próżno. Wstrząsnąłem nim kilka razy gwałtownie — nic nie pomogło — jego uśpienie było istnym letargiem. Oburzyło mię to.

Carl mógł był ulegać temu smutnemu kalectwu — a wtedy towarzystwo jego jakąż byłoby dla mnie biedą. Przez krótką chwilę miałem już zamiar haniebny wsunąć mu do kieszeni połowę mego majątku — i porzucić go uśpionego na łaskę i niełaskę losu.

Ale natychmiast oburzyłem się sam na tę myśl podłą i samolubną. Jeżeli Carl rzeczywiście był dotknięty podobną chorobą — czyż nie byłem mu dłużny opieki, jemu, który nieraz prawie z narażeniem życia nie szczędził mi swoich starań? Co byłoby się ze mną stało — gdyby ulegając podobnie samolubnéj myśli — Carl był mię także opuścił kilka dni temu w chwili, kiedy i ja byłem pogrążony w śnie bardziéj do śmierci jak do spoczynku podobnym?

Wspomnienie przeniosło mię do chwil spędzonych w towarzystwie tamtego, dawnego Carla — mego zacnego i szlachetnego przyjaciela — i w uniesieniu wywołaném tém rzewném wspomnieniem zawołałem:

— O Carlu! ty którego już darmo szukam na téj ziemi — artysto pełen wieszczego natchnienia — najdroższy mój przyjacielu! — Myśl, tak jak moja zbrodnicza — tobą nigdy na jedną chwilę owładnąćby nie była zdolna — a jeżeli duch twój unosi się dotąd jeszcze nademną — jak mi się to nieraz w gorączkowych moich przywidziały marzeniach — jakże szlachetne twe serce oburzyć się musiało na sam widok tak niecnéj niewdzięczności! — Carlu! — niechaj cień twojéj poetycznéj duszy czuwa zawsze nademną i nad smutnym moim towarzyszem! Twoje wspomnienie niech będzie tarczą opieki dla tego wątłego stworzenia — które Bóg twojém obdarzył imieniem — zapewne dla tego, żeby je na zawsze świętém dla mnie uczynić.

Uczułem gorącą łzę spływającą powolnie z drżącéj mojéj powieki — i już nie broniąc się od instynktowego popędu — dobyłem z pudełka flet — i podniósłszy go do ust — tchnieniem go mojém ożywiłem.

Dotąd niezdolny byłem posłyszeć najkrótszego nawet muzycznego dźwięku — bez gwałtownego rozdrażnienia nerwów — i od chwili śmierci Carla — ani razu nie poważyłem się tchnąć w jego ulubiony instrument — jedyny spadek, jaki po nim odziedziczyłem. W téj jednak chwili — pierś moja wezbrała jakiémś niepojętém uczuciem, pełnem tęsknéj ale błogiéj rozkoszy — i po kikakroć zmusiłem tyrolskie echa do powtórzenia mi majestatycznéj religijnéj pieśni — ostatniéj muzykalnéj myśli przyjaciela — myśli, którą nieprzewidziana śmierć tak gwałtownie przerwała *).

Nagle młody mój Carl się zbudził. — Jego blade policzki zapałały nieznaną dotąd dla mnie krasą — a czyste i nieruchome linje jego twarzy tak gwałtowném zadrgnęły wstrząśnieniem — że w jednéj chwili wydał mi się on o tyle pięknym — o ile dotąd przywykłem go widzieć szpetnym i bezmyślnym.

Uderzony tą zmianą przerwałem natychmiast moją grę — i zacząłem wypytywać go skwapliwie, czy i on pojmuje także muzykę — czy i on jest równie miłośnikiem muzyki — jak w ogóle wszyscy tyrolscy górale.

Ale w tém samém mgnieniu oka — zwyczajna mu bladość i zobojętnienie rozlały się na twarzy przed chwilą tak ożywionéj Carla. Potarł ręką oczy — ziewnął parę razy — przeciągnął się — i wyrazami prawie niezrozumiałemi wybąknął zapytanie, czy zażądałem co od niego.

Wstrząsnąłem się mimowoli na tę obojętność — wstrząsnąłem się od boleści, jaką sprawia każde rozczarowanie — od grozy i wstydu, że pod wpływem muzykalnego i uczuciowego zachwytu — przesądziłem o prawdopodobnie przezemnie tylko wymarzoném wzruszeniu Carla. — Niezadowolniony z siebie samego — i wstydząc się mojéj własnéj słabości, złożyłem flet do pudełka — i zawołałem na Carla, aby ująwszy tłumoczek ruszył w dalszą ze mną drogę.

Nie mogłem jednak od razu pozbyć się wywołanego wrażenia i na pół rozgniewany jeszcze na Carla, tonem bardzo dotkliwym dałem mu do zrozumienia, że słońce już bardzo zapadło — że zbyt długo zaspał — i że sen ma nazbyt ciężki. — Przyzwyczajony do srogiego obejścia w domu rodzicielskim — biedaczysko nawet nie spostrzegł mojego zniecierpliwienia i mojéj szorstkości — i odpowiedział mi z prawdziwie anielską pokorą i słodyczą.

— Od tak dawna żyłem w nędzy i niepokoju, że prawie zapomniałem, co to jest spać. Od dzisiejszego ranka czuję się wolnym i szczęśliwym — tak mi dobrze i spokojnie, że mógłem smacznie przespać czas jakiś, by wynagrodzić sobie cały czas czuwania. — Przytém — dodał naiwnie — kiedy pan był chory — także kilka nocy spędziłem bezsennie.

Ta prosta i łagodna odpowiedź wzruszyła mię żywo. — Przez chwilę milczałem postępując obok Carla.

— Carlu — powiedziałem mu późniéj — nie zapomnij nigdy tego, co ci teraz powiem. Jestem rozdrażniony — a przeto niecierpliwy i prędki. Ile razy mię takim zobaczysz — nie zapomnij powtórzyć mi słowa, które mają moc ułagodzenia mię.

— A jakie są te słowa panie?

*) Pieśń tę p. George Sand otrzymała od Meyerbeera.

— Szanuj imię Carla! — powtórz je ile razy spostrzeżesz, że źle się z tobą obchodzę.

— Dobrze panie — odpowiedział z pokorą.

I nie okazując ani zdziwienia — ani ciekawości — dalej stąpał spokojnie poprzedzając mię.

III.

Carl utrzymywał, że od dzieciństwa wychowany w górach — doskonale zna wszystkie ich przesmyki — więc opuszczając się zupełnie na tę jego znajomość okolic — postępowałem za nim zwolna i w zamyśleniu. Ale — czy to owe przechwałki Carla były tylko wynikiem góralskiéj zarozumiałości — czy też może był owego dnia bardziéj roztargniony — noc już czarna zapadła, kiedy obejrzawszy się mój młody przewodnik oznajmił mi, żeśmy z drogi zboczyli — iże mamy przed sobą jeszcze dobre trzy godzin, zanim na dobrą ścieżkę skierujemy nasze kroki.

Sam oddany prawie gorączkowym rozmyślaniom — zwróciłem się w milczeniu za Carlem, który w inną zaczął kierować się stronę — i już dobrze było po północy, kiedyśmy się ujrzeli w miasteczku F....

Byłem tak znużony pielgrzymką, że już nie mogłem wydobyć sił z siebie, żeby dotrzeć do wnętrza mieściny — i spostrzegłszy w pobliżu przydrożny kamień, usiadłem na nim — a Carlowi kazałem pobiedz do miasteczka, żeby nam poszukać jakiego przytułku.

W mieście zupełna panowała cisza i ciemność — ani jednéj zapalonéj latarni w ulicach — ani jednego światełka w oknach domów.

Po półgodzinnem poszukiwaniu — przewodnik mój powrócił do mnie z miną bardzo kwaśną i zapewnił, że nigdzie nie chciano mu otworzyć — że od jednéj w mieście oberży nawet go odepchnięto — a oberżysta ukazując się w oknie zagroził mu, że jeżeli nie inaczéj, to na pewno wystrzałem potrafi odpędzić natręta.

Przez chwilę przypuszczałem, że Carl nie lepiéj znał się na ulicach tego miasta, jak na górskich ścieżynach — i przekonany, że wszelkie najgroźniejsze nawet napomnienia na nic przydać się nie będą mogły — postąpiłem za nim w głąb miasta, szukając przynajmniéj pod murem jakiéjś ławki, na któréjbym mógł się wyciągnąć.

Znaleźliśmy się właśnie przed kościołem — a jego przedsionek w ostatnim razie mógł nas przynajmniéj od grożącego deszczu dachem swoim osłonić. Miałem się już ułożyć w kącie owego przedsionka — kiedy Carl nacisnął silnie drzwi kościelne — a widząc, że pod tym naciskiem ustępują, poważnym, biblijnym głosem zawołał:

— Dom boży, zawsze dla pielgrzymów otwarty!

— Bo też Bóg jest gościnniejszy od ludzi — odpowiedziałem, i wstąpiliśmy do wnętrza kościoła.

Z samotnéj lampy zawieszonéj w pośrodku chóru — słabe i drżące promienie światła rozlewały się po kościele i odbijały na jego ścianach chwiejące się cienie romańskich kolumn.

Rzuciłem się na stopniach ołtarza i głowę wsparłszy na tłumoczku zasnąłem — Carl usadowił się w konfesjonale.

Wkrótce jak powiedziałem — sen skleił mi ociężałe powieki. Ale sen ten był dziwnie przykry. — Zimno kamiennych stopni sprawiało mi ustawiczne dreszcze — gorączka żarem przebiegała po żyłach — a nie zdolny byłem podnieść się nawet, żeby poszukać sobie zdrowszego do spoczynku miejsca.

Najsmutniejsze i najprzykrzejsze opadły mię widziadła. Zdawało mi się, że znowu jestem przytomny konaniu biednego mego przyjaciela, Carla-maestro. — Widziałem go z przygasłym wzrokiem — konwulsyjnie skrzywionemi usty — i dłonią wyciągniętą — jakby na znak ostatniego pożegnania. Potém nagle oko jego się otwierało i prawdziwie niebiańskim pałało ogniem. Hymn dziękczynienia, pieśń wiary, modlitwa nadziei — w poważnéj harmonji wypływały z jego obumierającéj piersi. Ostatnie tony hymnu skonały już w Niebie — chciałem podnieść ociężałą głowę konającego — już w nim śladów życia nie było.

Zbudziłem się — a sen ten — wierny obraz bolesnych chwil spędzonych niedawno przy węzgłowiu konającego przyjaciela — sen ten pozostawił na mnie tak silne wrażenie rzeczywistości i boleści — że sam siebie pytałem z niepokojem — czy jakim cudem Carl swojéj własnéj nie przeżył śmierci — i czy właśnie w téj chwili własną dłonią po raz drugi już oczów do wiecznego snu mu nie zawarłem?

Popróbowałem znów zasnąć — te same marzenia prześladować mię nie przestały. — Po kilkakroć się budziłem — i za każdym razem zapadałem napowrót w jakiś sen letargiczny — a czuwanie i sen zarówno mięszały mi zmysły — i jedno i drugie napełniało moją osłabioną głowę jakiemiś dziecinnemi obawami.

Gdym oczy miał zamknięte — zdawało mi się, że słyszę najwyraźniéj tę samą myśl muzyczną, którą Carl na chwilę jeszcze przed śmiercią odśpiewał, a którą tego samego dnia rano odegrałem na flecie.

Kiedym otwierał oczy — zdawało mi się, że tę samą myśl przed chwilą odegrano na organach — i że ostatnie jéj dźwięki konającém swém drżeniem zapełniały jeszcze odwieczne nawy kościoła. — Sklepienia oświecone niepewném i drżącém światłem lampy, chwiały się i kołysały się nad moją rozpaloną głową — a z każdéj kaplicy zdawało mi się, że mię dochodzi jeden pojedynczy dzwięk, zlewający się z innemi w potężną harmonijną całość przedgrobowego hymnu przyjaciela.

Na wpół omdlały na stopniach ołtarza i znużony temi nieustannemi przywidzeniami — jednem wysileniem podniosłem się gwałtownie i postąpiłem parę kroków w głąb nawy kościelnéj.

Ale jakież słowa mogłyby oddać wrażenia, jakiego doznałem — kiedy najzupełniéj przekonany o przytomności moich zmysłów — w saméj rzeczywistości usłyszałem, jak nawa kościelna zapełniała się poważnemi tonami organów?

Tu już nie było złudzenia — tu już widocznie jakaś silna i wprawna dłoń przebiegała po klawiszach — a boki ogromnego instrumentu najwyraźniéj jęczały poważnemi tonami wstępu i pierwszych kilku taktów fatalnego hymnu.

Ukryłem twarz w fałdy płaszcza — i napół nieprzytomny upadłem na zimną posadzkę kościoła. — Przekonany, że wnet ujrzę wychodzący z podziemia jakiś zastęp szatanów — że dla skarcenia mię za niezbyt chrześcijańskie życie, jakieś widma piekielne wnet mię poczną szarpać — powtórzyłem kilka pobożnych egzorcyzmów — i tak długo pozostałem rozciągniony na środku kościoła, że już zorza bieliła szyby kościelne zanim odważyłem się rzucić wzrokiem do koła siebie.

Wszystko było w zupełnym spokoju — świergotanie wróbli uderzających dzióbkami o okna kościoła przerywało tylko poważną jego ciszę — Carl spał w konfesjonale.

Z trudnością mi przyszło rozbudzić mego towarzysza. Na próżno zadawałem mu rozliczne pytania — on nic w nocy nie słyszał — o niczém nie wiedział — a z obawy, żeby mię nie poczytał za szalonego — dłużéj nawet pytać go nie śmiałem — i wyprowadziłem go z kościoła. (C. d. n.)

Pieniądze i Oczy.

Szkic dramatyczny w 1. akcie

przez J. N.

(Dokończenie.)

ZENON.

Że też to człowiek nigdy zupełnie szczęśliwym być nie może!... Szkoda reniów... a jéj jeszcze większa szkoda....

CELINA. (n. s.)

Ale jak zwalczyć tę intrygę!...

ZENON.

(n. s. patrząc na nią) Prześliczna! jak cnotę kocham!

CELINA.

(wstając) A więc żegnam pana....

ZENON.

Jakto? już?...

CELINA.

I tak zbyt wiele drogiego czasu zabrałam panu.

ZENON.

Oh! bynajmniéj, jak cnotę kocham. Chwile spędzone w towarzystwie takiéj, jak pani... kobiety, nie są straconemi. Dla tego mam nadzieję, że się pani odwiedzić pozwolisz.

CELINA.

Wdzięczna jestem za to, ale ja dziś jeszcze wyjeżdżam.

ZENON.

Co? co? jak?

CELINA.

Naturalnie. Cóż mi innego do zrobienia zostaje? Gdy taki jak pan znawca, powiada, że nie mam talentu, gdy człowiek téj co pan sprawiedliwości osądziłeś i powiedziałeś głośno, że profanuję sztukę, to sumienie i rozsądek nakazuje mi, wyrzec się nadziei moich, porzucić scenę, i w innéj pracy szukać chleba dla siebie i najbliższych moich.

ZENON.

No, to czemuż wyjeżdżać tak zaraz.

CELINA.

Oh! ani dnia dłużéj nie zostanę w miejscu, gdziem tak bolesnego doznała przebudzenia....

ZENON.

Po cóż bo tak to brać do serca!... (n. s.) To niepodobna, żeby ona wyjechać zaraz miała (głośno). Zastanówmy się tylko troszeczkę.

CELINA.

Nie ma nad czém. Postanowienie moje niezmienne! Choć kosztuje mię ono wiele. Tém bardziéj, że... że....

ZENON.

Że co? że co?

CELINA.

To nie łatwo w oczy powiedzieć....

ZENON. (n. s.)

W oczy?... Czyżby?... A! jak cnotę kocham! (głośno) Ależ mów pani... szczérze... otwarcie!...

CELINA.

Więc dobrze!... Będę otwartą. Otóż od chwili, gdym postanowiła aktorką zostać... najgorętszém pragnieniem mojém, marzeniem najmilszém było występować kiedyś tutaj... bo....

ZENON.

Bo co?.. co?...

CELINA.

Bo tu pan mieszkasz!... Bo tu widując go w dzień... idąc za jego zdaniem... radami jego kierując się wierzyłam, że na prawdziwą wyrobię się artystkę....

ZENON.

Pani tak myślałaś?... Rzeczywiście?...

CELINA.

Wątpisz pan? Spojrzyj mi pan w oczy! Czyż znać w nich kłamstwo? (patrzy mu w oczy)

ZENON.

(z uniesieniem) A!.. niebo w tych oczach!.. jak cnotę kocham!...

CELINA.

(z uśmiechem) Niebo... to za wiele! Ale szczére uwielbienie... dla największego krytyka i... razem najsprawiedliwszego... tém bardziéj że... ale tego powiedzieć nie mogę....

ZENON.

(przysuwając się) O mów pani, mów!...

CELINA.

Dobrze... ponieważ mówimy ze sobą raz ostatni, będę więc otwartą zupełnie. Otóż, pragnąc gorąco kształcić się pod kierunkiem pana... jednakże lękałam go się trochę! W wyobraźni młodéj artystki, krytyk przybiera nie koniecznie mile formy.... Wyobrażałam sobie pana chudym, łysym... wyżółkłym... z szyderczym na ustach uśmiechem, z głosem ostrym, z sarkazmem w każdém słowie.

ZENON.

Ale cóż znown!.. co znowu!...

CELINA.

(z kokieterją) To téż ze strachem i drżeniem wchodziłam do tego pokoju... i ze zdziwieniem ujrzałam przed sobą człowieka w sile wieku... o rysach regularnych i pełnych łagodności, o oku głęboko lecz serdecznie patrzącém, o głosie pełnym sympatycznego dźwięku.... (niby się spostrzegając) Ah! mój Boże! Ależ ja panu wszystko to w oczy mówię!... (zakrywa twarz rękami n. s.) Czym aby nie przesadziła!...

ZENON.

Oh! nic nie szkodzi!.. nic nie szkodzi!... (n. s.) Ależ to anioł nie kobieta!..

CELINA.

(wstając) Otóż to... przykro mi dziś opuszczać to miasto i scenę... i... wszystko... ale wyrok zapadł... i... muszę.... Żegnam pana... (ze smutkiem) na zawsze!...

ZENON.

(wstrzymując ją za rękę) Ależ to być nie może!.. niepodobna!... Pani tu zostaniesz... musisz zostać!...

CELINA.

Po to, żeby mnie wygwizdano jutro? Po to, żeby za kilka godzin wskazywano mię palcami, czytając recenzję pańską?

ZENON.

Ah! mniejsza o recenzję!.. ja ją zmienię natychmiast!...

CELINA.

Jakto? a sprawiedliwość?

ZENON.

Właśnie przez sprawiedliwość! Pani masz talent!.. ogromny talent!...

CELINA.

Doprawdy? O! jakżeś pan dobry!... Ale dla czegóż przed chwilą?...

ZENON.

(zmięszany) Przed chwilą?.. a... bo... bo przed chwilą.... Baron... chciałem powiedzieć... ten tego... (n. s.) Jakby się tu wykręcić (głośno) A! bo teraz dopiero przekonałem się, że masz pani talent!.. tak, jak cnotę kocham!.. teraz dopiero!...

CELINA.

(n. s.) Ani się domyśla, że prawdę mówi. (głośno) W takim razie... ale to nie dosyć jeszcze....

ZENON.

Nie dosyć? cóż ja więcéj zrobić mogę?

CELINA.

Pan podobno skrytykowałeś bardzo i sztukę wczorajszą?...

ZENON.

A cóż to panią obchodzi? (n. s.) Czyżby autor? o!

CELINA.

Bardzo, mam ją grać jutro na benefis. Jeśli pan powiesz, że zła... teatr będzie pusty.

ZENON.

A czy to tylko ta przyczyna?... Nie ma żadnéj innéj?...

CELINA.

Patrz mi pan w oczy?... Jestże w nich nieprawda?

ZENON.

(zbliżając się) Oh! co za oczy!.. co za oczy!.. Wieleżbym w nie patrzył!...

CELINA.

Ale zlituj się pan, dziennik wyjdzie, i recenzja się ukaże... i ja zmuszona będę wyjechać!

ZENON.

O!.. nie!.. nigdy!.. choćby się miał dziennik o całą dobę spóźnić... lecz natychmiast i przy mnie muszą inną recenzję ułożyć.... Ale pani tu na mnie zaczeka... dobrze?...

CELINA.

Ah!.. czy to konieczne?...

ZENON.

Oh! błagam panią, tam zobaczysz nową recenzję....

CELINA.

(n. s.) Może to będzie pewniéj.... (głośno) Dobrze!

ZENON.

Z pewnością?...

CELINA.

Spojrzyj mi pan w oczy!...

ZENON.

Oh! co za oczy!.. co za oczy!... Do widzenia! (całuje ją w rękę i wybiega nucąc półgłosem) „Ona moją a ja jéj“!...

SCENA V.

CELINA. (sama)

No, nareszcie!.. poszedł!... A cóż, panie krytyku, nie mam talentu?... Złą jestem aktorką?... (po chwili

milczenia) Choć to przykro takich używać sposobów i takiemi środkami zdobywać sobie to, co nam się tak słusznie należy!... Ale cóż robić? czyjaż w tém wina? Żądałam przecież tylko sprawiedliwości... błagałam o nią w imię niezasłużonego nieszczęścia, w imię uczuć najświętszych, i cóż? Ten poważny arystorcha smaku odmówił mi jéj bez litości!... Zejść musiałam do użycia broni jaką Pan Bóg kobietę obdarzył!... Nie moja wina!... Ale coby Karol powiedział na to? (słychać kroki) ah! ktoś idzie. Czyżby już pan Zenon?... (wchodzi szybko Karol)

SCENA VI.

CELINA. — KAROL.

CELINA.

Ah!

KAROL.

Celina? ty tu?

CELINA.

(n. s.) Ah! mój Boże! (głośno) Tak... ale zkądże ty tutaj?

KAROL.

Ja siebie tu zemścić przyszedłem....

CELINA.

Zemścić....

KAROL.

Tak. (bierze ją za rękę gwałtownie) Ale o tém potém, najprzód chcę wiedzieć, dla czego ciebie tu zastaję?

CELINA.

Przedewszystkiém, mój Karolu, zkąd ten ton srogi ta mina straszliwa?...

KAROL.

Jakto, zastaję cię samą, w mieszkaniu nieznanego ci człowieka, i dziwisz się....

CELINA.

(odsuwając się) Proszę cię, mój drogi, pamiętaj, com ci mówiła tyle razy... kocham cię, kocham nad życie ale nie pozwolę sobie ubliżyć najmniejszém podejrzeniem.... Gdybym nie była aktorką, śmiałabym się ze scen takich, ale od chwili, gdym na scenie stanęła, muszę być i jestem drażliwszą....

KAROL.

A jednakże....

CELINA.

Żadnych jednakże.... (z uśmiechem) Rozpogódź czoło, przeproś mnie, powiedz, że wierzysz swojéj Celinie że nie masz w sercu ani śladu podejrzenia, a... dowiesz się o wszystkiém... no....

KAROL.

(całując ją w rękę) Oh! ty czarodziejko moja!.. no! przepraszam... uśmiecham się... wierzę... i... słucham.... (siadają na kanapie)

CELINA.

A gdybym ja nic nie powiedziała?

KAROL.

(gwałtownie) Co?

CELINA.

Znowuż?... (udając zagniewaną) Doprawdy, nie poprawny jesteś.

KAROL.

Daruj!.. ale postawże się w mojém położeniu!... No, przebacz i mów....

CELINA.

Raz ten jeszcze przebaczę!.. ale za karę ty mi naprzód powiedzieć musisz, co cię tu sprowadziło.

KAROL.

Spotkałem się z Leonem... co tylko wyszedł z Redakcji.... Powiada mi, że pan Zenon nie zostawił suchéj nitki na moim dramacie i na mnie. Mniejsza o to, wiedziałem, że tak będzie.... Zresztą sam nie zupełnie z méj sztuki kontent jestem....

CELINA.

Oh! boś ty artysta prawdziwy i nic twemu ideałowi dorównać nie może....

KAROL.

Ale cóż napisał o Celinie? pytam Leona. Przytacza mi dosłownie... krew mi zawrzała w żyłach — pytam się o mieszkanie i przybiegam.

CELINA.

I cóż tam było tak złego?

KAROL.

Oh, nie pytaj się! proszę!...

CELINA.

Ale owszem! Wiesz, że nie lubię omijać nieprzyjemności....

KAROL.

Napisał, że nie masz talentu... ani trochy talentu!... Kłamca!... Bo nie ma tak ślepego na świecie człowieka, któryby widząc cię na scenie, słysząc choćby jeden wiersz przez ciebie wypowiedziany — nie zawołał: To artystka!...

CELINA.

Już to pan Karol poetyzuje trochę — ale w każdym razie trudnoż zmusić kogoś, żeby uznał talent, jeżeli go uznać nie chce....

KAROL.

Tak, ale on prócz tego napisał, że oklaski zawdzięczasz ubocznym względom.... Rozumiesz... za to miałem prawo w łeb mu strzelić!...

CELINA.

Może, ale na szczęście to już niepotrzebne!...

KAROL.

Jakto?

CELINA.

Jam się wprzód jeszcze dowiedziała o recenzji pana Zenona... choć nie tak jak ty dokładnie... wiedziałam

jak ona ciebie, jak biedną moją matkę zmartwi, wiedziałam jak fatalnie wpłynie na moją przyszłość artystyczną, jak... najmilsze projekta nasze popsuje... spełnienie ich odwlecze. Powiedziano mi, że ten sławny krytyk, to starzec poważny i uczciwy... przyszłam więc sama....

KAROL.

No — i....

CELINA.

I zastałam istotę wstrętną fizycznie i moralnie, kolosalnéj zarozumiałości, a więc i głupoty człowieka... przekonałem go, że mam talent — że sztuka twoja jest arcydziełem... i właśnie pobiegł recenzję swoją przerobić....

KAROL.

Być nie może!...

CELINA.

A jednak tak jest....

KAROL.

Ale jakimże sposobem....

CELINA.

Czarodziejstwem mojém.... Wszak mnie nieraz czarodziejką nazywano.... Ale nie marszcz się... nie marszcz... powiem ci... cud ten zrobiłam za pomocą nieomylnego środka, który w zastósowaniu do artystów a głównie pseudo-literatów nie chybia nigdy.... Pochlebiłam mu....

KAROL.

Ah! Celino!...

CELINA.

Cóż robić mój drogi!... Wolałam uśmierzyć trochę pana Zenona, jak złamać naszą przyszłość... i rodzinę, któréj karmicielką jestem, na głód wystawić... ale na!.. zdaje się, że to on....

KAROL.

Ale cóż ja ze sobą zrobię?...

CELINA.

Spuść się na mnie.... Bądź grzeczny, poważny, milczący, resztę ja załatwię....

SCENA VII.

Ciż i ZENON.

ZENON.

(wbiega ubrany inaczéj i elegancko) Spieszę... jestem... Drżałem, czy mi pani słowa dotrzymasz!... Recenzja już pod prasą!... Dramat arcydziełem zrobiłem, jak cnotę kocham!... Pani bo tylko sprawiedliwość oddałem, zapewniając, że przejdziesz Rachelę....

CELINA.

Oh! dziękuję panu serdecznie!... I nie tylko ja sama....

ZENON.

(spostrzegając Karola) A!... przepraszam... nie uważałem... kogóż mąm honor?... (n. s.) A to przylazł potrzebnie!...

CELINA.

Proszę cię Karolu.... (Karol się zbliża) Mam przyjemność przedstawić panu, pana Karola Osięckiego, autora dramatu, któryś pan tak słusznie za arcydzieło uznał... a razem mego narzeczonego....

ZENON.

Co?.. jak?.. na... na... na....

CELINA.

Na-rze-czo-ne-go me-go....

ZENON. (n. s.)

A to osioł ze mnie!.. jak cnotę kocham!...

CELINA.

I oboje dzięki panu składamy.... Jego bowiem sąd łaskawy o naszych talentach zapewniając mi możność uzyskania korzystnych warunków, a panu Karolowi odbyt na prace, jakie w tece swéj posiada, pozwalają nam się pobrać bezzwłocznie....

ZENON.

Bardzo mi przyjemnie... jak cnotę kocham... (n. s.) a niechże mnie!...

SCENA VIII.

Ciż i BARON.

(wchodzi w kapeluszu z Dziennikiem.)

BARON.

(nie widząc Celiny i Karola) Co to znaczy u djabła panie Zenonie!... Zapłaciłem 500 guldenów za to, żebyś Celinie odmówił nawet cienia talentu... a tu ją pod niebiosa....

ZENON.

(przybiegając do Barona) Na Boga panie Baronie — ona tu jest!...

BARON.

(spostrzegając ją) Aaa!... Jakież spotkanie szczęśliwe!..

KAROL.

(do Celiny półgłosem) Słyszałaś ich!... to było przekupstwo!...

CELINA.

(do Karola) Domyślam się... ale nie znam tego tak hojnego pana!...

ZENON (n. s.)

Djabli go tu przynieśli!.. i tak mnie szkaradnie skompromitował!...

BARON.

Panie Zenonie proszę mnie zaprezentować (biorąc go pod rękę) Winszuję ci... winszuję....

ZENON (n. s.)

Jest czego!... (do Barona) Nie ma po co, panie Baronie.

BARON.

Jakto, nie ma po co?... Czyżby pan mnie chciał zastąpić?...

ZENON.

A!.. broń Boże!... Choć pobłażam słabościom pana Barona, ale im nie ulegam nigdy!...

BARON.

A więc?

ZENON.

Ten fant to jéj naznaczony!...

BARON.

Żarty!...

ZENON.

Niestety!.. najprawdziwsza prawda!.. jak cnotę kocham!...

BARON.

Djabła!.. to źle!.. ale wracam do artykułu... cóż to znaczy?

ZENON.

Co znaczy?.. nic... chciałeś pan Baron przekupić biednego literata... literat dał nauczkę....

BARON.

Tak?... No proszę... toś ty uczciwy człowiek panie Zenonie... no proszę... a więc mi oddajesz 500 guldenów....

ZENON.

500 guldenów?... Alboż jabym je trzymał tak długo u siebie... pieniądz ubogich!.. rozdałem natychmiast... jak cnotę kocham....

BARON.

Tak?.. więc darmo zapłaciłem?...

ZENON.

Inaczéj nie byłoby nauczki....

BARON.

Prawda... uczciwy człowiek z pana panie Zenonie... słowo honoru... bardzo uczciwy!...

CELINA.

Żegnam pana... panie Zenonie....

ZENON.

Rączki całuję... (zbliżając się półgłosem) A więc uwagi moje będziesz pani przyjmować... i wskazówek moich szukać.

CELINA.

W odcinku dziennika....

ZENON.

(po cichu) Tylko tam? (Celina spogląda na niego i wychodzi pod rękę z Karolem)

ZENON.

Ah! te oczy, te oczy!... Dobrze, że choć renie zostały!...

(Zasłona spada.)

FANTAZJA.

Raz chciałbym cały świat tulić do łona,
I wszystkich ludzi naraz uszczęśliwić —
Jak moich bliźnich, jako wspólne dzieci.
Lecz gdy mi nagle ta postać zaświéci,
W koronie z cierni, cała pokrwawiona,
To do boleści usta muszę skrzywić,
Krzyczeć z rozpaczą: to ona! to ona!...
Wtenczas żal dziwny ogarnia mą duszę;
Wtedy przeklinam tych bliźnich — świat cały....
I konwulsyjnie drżący, rozbolały
Cisnę me piersi, myśląc, że świat duszę;
Łamię me ręce, myśląc — więzy kruszę!
O! wtedy chciałbym Panu Bogu sprostać:
Zniszczyć mém słowem — na skinienie ręki
I wszystkich wrogów, i Ojczyzny męki....
Lecz wtenczas czuję w żalu i boleści,
Żem słabe dziecię . . . .
. . . .
To znów raz drugi skarżę się przed Bogiem:
Czemu mą ziemię zakąkolił wrogiem,
Czemu mię stworzył na świadka tych cierpień,
Które Ojczyzna ponosi cierpliwie;
Czemu jéj wrogów — szatanów, gniewliwie
Nie strąci w czarną, nieprzejrzaną bezdeń?
I szemrzę Bogu... lecz gdy wspomnę Chrysta,
Co cierpiał tyle za ludzkie zbawienie,
To na me usta osiada milczenie:
Korzę się Panu... „Panie Twoje drogi
„Są nie zbadane, niechaj wszystkie wrogi
„Męczą mą Matkę... ona z mąk tych zdroju
„Za Twoją łaską wynidzie w spokoju
„Czysta i święta, jak Twój syn Zbawiciel".
. . . .

Trzy siostry B... P... M...

Poznałem ja trzy siostrzyczki:
W cnotach goni jedna drugą —
Wszystkie ładne są twarzyczki...
Któréj teraz zostać sługą?

B... to dziecko... w cztéry lata
Będzie panną do wydania:
Młoda żonka, to nie strata!
Lecz cóż powie na to Mania?

P... to dziewcze do kochania
Z czułém sercem — choć ostrożna;
Ej! tę gdyby kochać można!
Lecz, cóż powie na to Mania?

M... nikt także nie przygani,
Choć jéj dusza drzémie jeszcze...
Zanadto się myślą pieszczę...
Czym zapomniał już o Mani?

POGADANKI.

(Dokończenie.)

W taki sposób i ztąd powstały rozliczne zagadnienia, które ogólném mianem kwestji społecznych oznaczamy. W ich liczbie jedno z głównych miejsc zajęte słusznie zostało przez kwestją usamowolnienia kobiet — kwestją, któréj wprawdzie w szczupłym zakresie, te moje Pogadanki poświęcić zamyślam. — Pozwolą mi tylko czytelniczki rzucić jeszcze okiem na przyczyny, dla których zagadnienie kobiet, zdaje się wymagać koniecznego i gruntownego choć może powolnego rozwiązania.

Wszelkie systemy reform społecznych, jakie w ciągu tego wieku posypały się gradem na zachodzie Europy — o tyle się okazały mniéj lub więcéj dobre — o tyle zostawiły po swojém przejściu mniéj lub więcéj żywotnych śladów — o ile mniéj lub więcéj odpowiedziały zadaniu — spożytkować wszelkie siły materjalne i moralne, jakiemi cały skład społeczeństwa rozporządzać może dla wspólnego popierania się na drodze powszechnego, dobrze zrozumiałego postępu. — Ze studjów nad temi systemami, dzisiejsi myśliciele doszli do następującego przekonania: Nie można marzyć nawet o przeprowadzeniu jakiéjkolwiek choćby najuczciwszéj reformy społecznéj dopóty — dopóki w pojedynczych osobistościach wchodzących w skład społeczeństwa, bez względu na ich wiek, płeć, stan i powołanie, nie rozbudzi się żądzy dołożenia chętnéj ręki do wspólnie w celu publicznego dobra przedsiębranéj pracy.

A w jaki sposób rozbudzić w zobojętniałych masach tę żądzę współdziałania? — Minęły czasy, kiedy można było i godziło się w imię zasady, — cel usprawiedliwia środki — nakłaniać przemocą do uznania za prawdziwe wygłaszanych przekonań. Minęły czasy, kiedy w imię Chrystusowéj miłości wolno było Krzyżakom broczyć się krwią spokojnych rolniczych plemion pogańskich. Zresztą najwalniejsze nawet zwycięztwo tą drogą odniesione chybia swojemu celowi — bo zamiast wzmocnić szeregi zwycięzkie szeregami zwyciężonych — osłabia je jeszcze, wprowadzając do nich żywioł ujarzmiony, nie wolny i niechętny. — Wrodzony wolnéj naturze ludzkiéj duch opozycji przeciw każdemu uciskowi — jeżeli nie pociąga zwyciężonego do otwartego przeciwdziałania — to co najmniéj nie dozwala mu współdziałać i zmusza go do zachowania nieprzyjaznéj neutralności. — Droga przeto pokojowéj propagandy — to jest pokojowego oddziałania na same przekonania jednostek — ukazała się jako jedyny środek możebny.

Ciężka — i prawie nieprzepartemi zaporami utrudniona droga. — W jaki sposób przemawiać o publicznéj potrzebie, o publiczném dobrze, a przemawiać w imię prawdy, sprawiedliwości, miłości i postępu — do tych co prawdy nie uznają, do tych co nie wierzą w sprawiedliwość, do tych co przywykli żyć szczęśliwie w egoistyczném zobojętnieniu? W jaki sposób przekonać o potrzebie pracy na drodze postępu tych — których wiarą jest, że ludzkość fatalnie trzymać się musi szlaków, jakie jéj pochodowi przed wiekami jeszcze wytknęło przeznaczenie — tych co wierząc w bezpośrednie oddziaływanie Boga na losy ludzkości wszystko na Opatrzność i wolą Jego oddają — tych co przekonani, że cała sztuka życia zależy na omijaniu jego trudności, uslali sobie z uzbieranych po drodze kwiatów miękkie, wygodne gniazdo i rozkosznie w niém zasnęli, ze drżeniem oczekując chwili przebudzenia, która przecież ma im otworzyć wstęp do tyle pożądanego królestwa bożego? Gdyby człowiek nie był śmiertelnym — gdyby społeczeństwo nie ulegało ciągłéj przemianie — gdyby generacje nie następowały po sobie — wszelka myśl podobna byłaby nie do urzeczywistnienia — bo przyzwyczajenie często jest silniejszém od saméj natury — a czém się skorupka za młodu napoi....

Szczęściem tak nie jest — a ci co dziś znajdują się u steru społeczeństwa, muszą ustąpić miejsca synom, czy wnukom. Więc czemu nie zostawić w spokoju tych co wzrośli w spokoju — a całą nie zwrócić uwagę na młode pokolenia, w którego ręku ważą się losy przyszłości? Zadanie umoralnienia społeczeństwa należy tedy rozpocząć od umoralnienia młodzieży — a przeto całą uwagę zwrócić na wychowanie, jakie ona czy to w szkole, czy téż w domu odbiera.

Zakres działalności szkoły, albo publicznego wychowania, z saméj swojéj natury bardzo jest ograniczony. Skoła przyjmuje do siebie młodzież, któréj moralne kształty zostały już obciosane domowém wychowaniem — zadaniem przeto szkoły — nie zaszczepiać w sercach i sumieniach uczniów zasad, które przypuszczalnie już przez rodziców w nie szczepione zostały — ale tylko rozwijać w nich te zasady — i nauczyć — że jedyném criterium, jedynym sędzią przekonań, do jakich w przyszłości dojść mogą, powinna być zgodność, harmonja dociekań umysłowych z wewnętrznym głosem sumienia — przekonać, że celem życia każdego człowieka powinna być praca poświęcona urzeczywistnieniu królestwa bożego na ziemi. — Dla tego należy przyzwyczaić tę młodzież do niespuszczania oka z przeszłości, i wykazać jéj drogi, jakiemi pośrednio lub bezpośrednio ludzkość do właściwego swegod ążyła

celu — a przeto rozszérzyć program historyczny do rozmiarów filozofji historji. Dla tego także należy przyzwyczaić młodzież do czerpania nauki z doświadczeń myślicieli z przeszłości — i wykazać jéj, jakiemi drogami dochodzili oni do pojęć, które dziś stanowią nasze prawo moralne — a przeto rozszerzyć program filozoficzny do rozmiarów historji filozofji. — W końcu — przyzwyczaić młodzież do samodzielnego rozwijania w sobie nierozłącznych od sumienia ludzkiego pojęć absolutnego dobra i absolutnego zła, absolutniéj sprawiedliwości i absolutnéj niesprawiedliwości — a przeto rozszerzyć program nauki moralności, która dotąd była tylko dodatkiem do nauki pojedynczych wyznań religijnych, do rozmiarów filozofji prawa i nieoddzielnéj od niéj filozofji moralności czyli niezależnéj od wszelkich wyznań i formuł religijnych, a przeto powszechnie i zarówno wszystkich najbardziéj nieprzyjaznych sobie wyznawców obowiązującéj etyki.

Tak postawiony program publicznego wychowania mógłby w przeciągu kilku generacji przynieść bardzo pożądane owoce, jeżeli przypuścimy, że młodzież mająca na ławach szkolnych zasiadać, przynosi już z sobą dobrą wolę i żądzę nauki pracy i współdziałania — bo szkoła tego zaszczepiać w niéj nie może i nie zdolna. A któż ma pierwszy rozbudzić w téj młodzieży owe dobre żądze? Kto — jeśli nie rodzice, którzy pierwsi nadają kształty bezforemnéj istocie moralnéj dziecka — kto — jeśli nie matka, co wraz z mlékiem swojém przelewa w własne dziecko zasady, jakiemi sama ożywiona?

Oto jest doniosłość kwestji tak zwanéj emancypacji kobiet. W celu umoralnienia społeczeństwa począwszy od jego najmłodszych pokoleń — pociągnąć do dobrowolnego, samodzielnego współdziałania kobietę mającą być lub będącą towarzyszką lub matką człowieka — a przeto podnieść ją do poczucia osobistéj godności i ważności, do poczucia obowiązków żony i matki i praw od tych obowiązków żony i matki i praw od tych obowiązków nieoddzielnych — jest to to samo, co usamowolnić kobietę.

To wziąwszy za zasadę zagadnienia — bezporównania już łatwiéj przejść do szczegółowych zastósowań jéj w życiu. Stósownie do stanowiska, jakie kobieta zajmuje w społeczeństwie lub w rodzinie — zagadnienie główne rozdziela się na kilka innych podrzędnych, które jednakże zawsze nie mogą być od głównego celu oderwane. — W jakimkolwiek zatrzymamy się punkcie widzenia nie możemy zapomnieć o témże, poszukiwania nasze mają mieć na celu — umoralnienie społeczeństwa przez kobietę. I tak:

Względnie do wychowania kobiety — zasadą naszą być winno przygotować ją do godnego podjęcia kiedyś obowiązków żony i matki — przekonać ją, że jako istota ludzka ubliżałaby własnéj godności, zgadzając się na służenie człowiekowi za czczą tylko ozdobę jego życia i jego kochankę — a przeto rozwijać w niéj poczucie osobistéj godności, dumy i samodzielności.

Względnie do bezpośredniego stanowiska kobiety w społeczeństwie — i w razie, jeżeli nie mogła zająć miejsca w rodzinie — obowiązkiem naszym jest uznać w niéj istotę moralną, równą istocie człowieka, a przeto uznać dla niéj równe człowiekowi prawo korzystania z opieki społeczeństwa prawo do pracy we wszelkich gałęziach zgodnych z jéj różniącą się nieco od naszéj naturą — do pracy ocenianéj bezwzględnie podług jéj wewnętrznéj wartości — a przeto mogącéj jéj zapewnić stanowisko niezależne chroniące ją od upadku z nędzy, od wyrzeczenia się się dumy, godności i cnoty.

Względnie do stanowiska kobiety w rodzinie, jako żony lub matki — obowiązkiem naszym tak ją postawić przez małżeństwo w rodzinie, ażeby miała wszelką sposobność i wszelkie prawo, niezależnie, samodzielnie, sumiennie i z godnością obowiązki żony i matki wypełniać. Nie zapominajmy bowiem, że nie ma prawa tam, gdzie nie ma obowiązków, że prawo wynika li tylko z obowiązku — że jedynym celem prawa nie jest uwolnić od obowiązku, lale przeciwnie dać rękojmią wolności sumiennego jego wypełnienia. Dla tego właśnie — usamowolnić kobietę, znaczy to samo — co rozszerzyć sferę jéj działalności samodzielnéj — rozszerzyć przeto sferę jéj obowiązków — a zarazem rozszerzyć sferę rękojmi, jakie ma zaczerpnąć z prawa dla pełnienia swoich powinności.

Niech mi łaskawe czytelniczki darują suchość tego wstępu do pogadanek, które życzyłbym sobie, o ile to w mojéj mocy będzie ożywić i urozmaicić. Nie mając wcale zamiaru wdawać się w naukowy, ścisły rozbiór systemów, co w kwestji kobiet, jak grzyby po deszczu wyrosły na Zachodzie — byłbym z ochotą wyrzekł się tego nawet ogólnego poglądu — gdyby dla dalszych gawęd, postawienie głównych zasad, nie było mi niezbędnie koniecznem. Zamiarem moim — jest poświęcić głównie te pogadanki dziełom, które w formie interesującéj, bo w formie romansów, moralnych studjów społecznych zajmują się ocenieniem stanowiska, jakie kobieta dziś zajmuje, a jakie zajmować w społeczeństwie powinna. Z szczególném zamiłowaniem zwrócę się do dzieł nowych a pisanych przez kobiety, będące przeto najbardziéj kompetentnemi, bo najbardziéj interesowanymi sędziami w téj sprawie. Spodziewam się, że przez to samo, pogadanki moje w przyszłości potrafią zainteresować moje czytelniczki, bo obok traktowania zagadnienia, które je żywo obchodzić powinno— będę miał na celu obznajomić je z najznakomitszemi utworami francuzkiéj bieżącéj literatury.

Jedynie tylko w przyszłéj pogadance — ośmielę się cofnąć o parę miesięcy, ażeby pomówić trochę o dziele p. Róberta Halt, który za przedmiot studjów obrawszy

sobie małżeństwo tak zwane *de couvenance* — stworzył w swéj bohaterce pani Frainex — prześliczny typ godności kobiecéj. *S. R.*

α. δ. **Kronika**. Kalendarze i Dzienniki. — Kurz i Magistrat krakowski. — Natura nasza kocha się we wszystkiém, co jest estetyczne — ale po polsku. — Giełda. — Buda na rynku głównym. O Charakterystyce lasek. — List do Redaktora.

Zdaje się, że już na dobre wiosna zawitała do nas — ale czy w maju jeszcze śnieg nie poprószy, za to zaręczyć nie podobna — natura jést tak kapryśna! — W tym względzie zupełnie ma inne usposobienie od naszych kalendarzy, które gotowe są zawsze przepowiadać pogodę wtenczas, gdy najulewniejszy deszcz ma padać — a burze i słoty wtedy, gdy pogoda jasna. — Niektóre dzienniki zaprawiwszy się na kalendarzach, robią wojny i rewolucje tam, gdzie narody drzemią sobie spokojnie — a zaręczają o pokoju wtenczas, gdy na warsztatach kilka kroć tysięcy chasepotów na ukończeniu. Żałuję bardzo, żem nie został kronikarzem jakiego dziennika politycznego. — Wziąwszy opinję publiczną za ucho nie już o wojnie miałbym ochotę pogawędzić — ale o kwestji, która najwięcéj dokucza nosom, zarówno czerwonym, jak i pięknym estetycznym noskom. Tą kwestją żywotną, około któréj wprawdzie świat się nie obraca — ale w któréj kręci się cały światek krakowski — jest ni mniéj ni więcéj — jak kurz najnieznośniejszy ze wszystkich rzeczy nieznośnych u nas. Udaję się więc z pokorną prośbą do wszystkich szanownych współkolegów kronikarzy, aby łaskawe swoje słówko raczyli zanieść przed tron Municypjum krakowskiego — któreby na jakiém walném zgromadzeniu ustanowić mogło, dodatkowy paragraf — obowiązujący straż publicznego porządku zamiatać lepiéj ulice; a chodniki w czasie upałów polewać wodą. Wprawdzie w zapylonych aktach Ratusza istnieje jakieś polecenie obowiązujęce stróżów, iżby w dnie skwarne dopuszczali się chwalebnéj czynności polewania tretoarów, ale zważając na leniwą naturę tych istot, wartoby jakoś lepiéj temu zaradzić — inaczéj goniąc za świeżem powietrzem — Kraków niedługo stanie się jako jedna owczarnia... nielitościwie kaszląca — a młodzież nasza zapadłszy na cwalujące suchoty, będzie jako zero... w polowaniu na mężów. — Wreszcie dokuczliwe w swojéj naturzo katary — zapalenie oczów — wszystko to są przyjemności wynikające z kłębami wznoszącéj się kurzawy — że już nie wspomnę o sukniach wołających pomsty niebios — które po letniéj krakowskiéj promanadzie farbują się na popielato. Ale jakkolwiek i cokolwiek pisanoby w tym sensie myślę, że łatwiéj dokazać wszystkiego, co jest niepodobne, niżeli przełamać polską naszą naturę, która lubi przyjemności wszelkiego rodzaju — nawet kocha się w gotyckich pałacach — byle tylko przed ich frontonem kupa polskiego śmiecia wskazywała drogę do narodowości. — A już niektóre słabości trzymają się nas chronicznie i zdaje się, napróżno szukanoby na nie lekarstwa. Bywają chwile, że zrywamy się z długiego letargu — że podoba nam się jakaś nowostka, ale prawie zawsze wynikiem takich entuzjastycznych porywów jest... przepraszam — głupstwo. Niechaj mi na poparcie tego wyrażenia posłuży nie zbyt dawna katastrofa giełdowa. Zaleniwi jesteśmy, aby pracować ciężko a uczciwie na kawałek chleba. — Próżniacza spekulacja przywędrowała niewiadomo zkąd do nas i jak każde głupstwo, przyjęła się na naszéj poczciwéj roli. Każdy chce w jednéj godzinie zostać miljonerem. — Lada loteryjka albo gra giełdowa — a poniesiemy wszystko na ołtarz fortunie — i jak zwykle przegrywamy wszystko. A choć od niejakiego czasu tak nauczyliśmy się przegrywać, że już lepiéj nie można, (choć prawda, że zawsze z chwałą), to jeszcze nie przyszliśmy do tego przekonania, aby zacząć pracować dla siebie, nie licząc na szczęście ale na rozum i własne siły. Gdybyśmy zamiast grać na giełdzie, starali się o zaprowadzenie np. omnibusów spacerowych na Wolę lub w inne okolice Krakowa, ręczę, że ryzyko takie dla kapitalistów mniéj byłoby ryzykowne, aniżeli spadek i podwyżka papierów, które często mają kurs tylko na księżycu.

Niedawnemi czasy przywędrował do nas jakiś Impressario z marjonetkami i wystawił ogromną budę pod Sukiennicami w głównym rynku. Że téż Magistrat krakowski nie mógł lepszego miejsca obmyśleć dla tego rodzaju zarobkowców. Jest nadzieja, że na lato ściągnie ich tu kilku — a jeżli Municypjusz nasz przyjmie wszystkich tak gościnnie — to mieszkańcom rynku głównego nie koniecznie będą przyjemne Königratzowe strzały i beztutanna wrzawa, a w dodatku łamane sztuki tysiąca pauprów krakowskich odbywające się na kopcu obok wieży. Podobne zanieczyszczanie placów publicznych należy zawsze do nieporządku — i nie zbyt troskliwéj opieki.

Byłbym tak pisał o tém i o owém Bóg wié jak długo, gdyby nie wzgląd na wysokiego korrespondenta Dziennika poznańskiego, który gotów mi wytoczyć proces przed sądem pruskim i wsadzić na jakie kilka miesięcy głodowych o to, że wdzieram się w jego świat uprzywilejowany. Zboczyłem bowiem z drogi bocianiéj, i zamiast żabek, albo zwykłych ploteczek brukowych, omałom nie wypisał całego summarjusza nieprzyjemności, na które narażone są spacerujące nosy krakowskie. — Teraz więc, gdy jestem na właściwym torze gawędy — powiem wam, że pewien uczony polski (dla czegóż nie może być polski?) pracuje i to wiele, nad pewném dziełem, które będzie nosiło napis: „Charakterystyka lasek“ począwszy od czasów Psametieha do Stanisława Poniatowskiego. Rzeczywiście jest to pomysł nie lada! Z pisma poznaje się charakter człowieka — jego zwyczaje, nawet kolor oczów (jeśli to kobieta) dla czegóżby z laski nie można dojść usposobienia indywidualnego jéj właściciela. Strach mnie brał i włosy stawały na głowie, gdy mi ów uczony (polski) wykładał swoją teorję — i w najdrobniejszych szczegółach cytował opisy osób, biorąc jedna po drugiéj laskę.... Nie wiem, czym wiele skorzystał z téj zajmującéj prelekcji — to jednak pewna, że nigdy nie zapomnę jak wygląda laska zazdrosnego męża. W tym względzie radziłem mojemu uczonemu, aby dał publiczny odczyt na korzyść jakiéj Dobroczynności, a ręczę, że tysiące don Jouanów krakowskich słuchałoby go z wielkiem zajęciem. — Cokolwiekbądź, wiek nasz może się szczycić, że doszedł do pewnéj doskonałości, a my drobiazgową swoją specjalnością ręczę, że niedługo nietylko zadziwimy Europę, ale nawet Ocean lodowaty. Jednakże, jeśli tak daléj gładko pójdziemy drogą odkryć i wynalazków, niezadługo niezbyt wygodnie żyć będzie na świecie — bo jeśli cię najszczérszy przyjaciel albo najlepsza przyjaciółka nie zdradzi — to pismo lub laska wszystko wypowie, co masz skrytego w duszy. Od téj chwili zabezpieczając się na przyszłość, postanowiłem nigdy do ręki nie wziąść nietylko laski, ale najmniejszego patyka — na co i mój uczony (polski) zgodził się — z tą uwagą, że może zmieni swoje zdanie, jeśli się ożeni.

Na zakończenie gawędy dzisiejszéj załączam list przesłany redakcji, który jako zgrabny i udatny wierszyk, doda cokolwiek wartości nudnéj pogadance urzędowego kronikarza „Kaliny“.

Redaktorze!

Nie z chęci sławy imienia poety —
Bo to poetą być trudno niestety!...
Posełam moje fantazje i mrzonki.
Lecz, żem ciekawy, jakiéj są wartości —
Czy się przy druku nie połamią czcionki!
Dla tego właśnie sam pokornie wnoszę
Dobrze je zbadać, by nie było szkody.
Ja, bo się nie znam, gdyż jeszczem za młody....
Więc krytykować nie bardzo mnie proszę!

A że wierszyk przesłany wraz z tém skromném zastrzeżeniem nie zbyt surowéj podpada krytyce — niechaj piękne moje czytelniczki same osądzić raczą — jest to bowiem „F a n t a z j a", którą z chęcią zamieściliśmy, prosząc zarazem m ł o d e g o poety o dalszy ciąg takich listów.

Dziennik „KRAJ" wychodzi od 1. kwietnia r. b. **w zwiększonym** formacie.

Przedpłata miejscowa:

w Krakowie i we Lwowie w ajencjach naszych:

za kwiecień	złr. 2. c.	—
za kwartał do końca czerwca	złr. 5 „	—
od końca roku	„ 15 „	—

w Poznaniu w ajencji naszéj:

za kwiecień	Tal. 1 sgr.	5
za kwartał	„ 3 „	15
do końca roku	„ 10 „	15

Z przesyłką pocztową w całém państwie austryackiém:

za kwiecień	złr. 2 c.	25
za kwartał do końca czerwca	„ 6 „	—
do końca roku	„ 18 „	—

w Prusach i Niemczech:

za kwiecień	Tal. 1 sgr.	15
za kwartał	„ 4 „	5
do końca roku	„ 12 „	15

we Francji i Anglji:

za kwiecień	10 fr.
za kwartał	27 „
do końca roku	81 „

w Belgji, Włoszech i Szwajcarji:

za kwiecień	7 fr.
za kwartał	20 „
do końca roku	60 „

Wszyscy nowi Prenumeratorowie otrzymają b e z p ł a t n i e, na żądanie, początek drukującéj się obecnie powieści E d m u n d a C h o j e c k i e g o p. t.: „P R A K S E D A".

Miejscowi Prenumeratorowie, życzący sobie odbierać tenże dziennik z przesyłką domową, raczą się zgłosić do księgarni *Józefa Czecha* jako ajencji naszéj i złożyć dopłatę miesięczną w kwocie 30 cnt. za odsyłkę w mieście, a 45 cnt. na przedmieście.

W Pelplinie w Prusach Zachodnich wychodzi od Nowego Roku pod redakcją X. Prob. *Kellera* „PIELGRZYM", pismo religijne dla ludu.

Prenumerata kwartalna wynosi dla Prus 7 ½ sgr., dla Austrji 52 ½ cent. Prenumerować można na w s z y s t k i c h p o c z t a c h a u s t r j a c k i c h i p r u s k i c h.

Odpowiedzialny redaktor i wydawca *St. Gralichowski.*

Prenumerata miejscowa „Kaliny" wynosi rocznie 6 złr. — półrocznie 3 złr. — ćwierćrocznie 1 złr. 50 c. w. a.
Z przesełką pocztową: rocznie 7 złr. 20 c — półrocznie 3 złr. 60 c. — ćwierćrocznie 1 złr. 80 c
Prenumerata zagraniczna: bez **mód** rocznie 8 złr. 30 c. w. a.
Mody i kroje rocznie 3 złr. 70 c. — półrocznie 1 złr. 90 c.— ćwierćrocznie 1 złr. w. a
W Krakowie prenumerować można w biurze Redakcyi: ul. B r a c k a gdzie jest i ekspedycja, albo w księgarni J. Czecha.

We **Lwowie** można prenumerować i odbierać w ajencyi „Czasu" księgarni Seyfart et Czajkowski przy głównym rynku.
W **Tarnowie** w księgarni M. Fenichla.
W **Poznaniu** w księgarni Leitgebera Hôtel du Nord.
Wszelką zamiejscową prenumeratę z Galicyi **prócz miasta Lwowa**, należy przesyłać wprost do Redakcyi.
Reklamacje nieopieczętowane nie opłaca się.
Inseraty (stosowne) opłacają się od wiersza drobnego za pierwszorazowe umieszczenie po 7 c., następnie po 4 c. — Każdą razą dokłada się 30 c. na stępel rządowy.

Kraków. — W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego pod zarządem K. Mańkowskiego. — 1869.